

Teksty Drugie 1996, 1, s. 171-174



Awantura o garnce sadła

Jerzy Jarzębski

demickiej daleko do księcia z bajki. Trzeba jednak na pewno rozbudować istniejące wprawdzie już dotąd, ale wciąż niedostateczne związki między tymi, „osobnymi” dotąd, stronami polonistycznego środowiska. Musi to być jednak związek partnerskiego dialogu, a nie kontakty nauczających z pouczanymi. Dialogu potrzebnego obu stronom.

Mieczysław Inglot

Awantura o garnce sadła

W początkach mego prywatnego romansu z polonistyką jakoś sobie tę dyscyplinę, nieudolnie, wyobrażałem, na co wpływ miało, rzecz jasna, szkolne nauczanie, a w nim sławetne (autentyczne zresztą) pytanie o ilość garnców sadła, którymi leczyl się w *Krzyżakach* Maćko z Bogdańca. W swoim felietonie wstępnym z numeru „Tekstów”, dedykowanego Zjazdowi Polonistów, piszę głównie o tym, jak zmieniałem zdanie — podczas gdy prof. Inglot z uporem przypisuje mi nadal świadomość i poglądy szkolarza, który realizuje po latach skrytą chętkę „dołożenia” swoim nauczycielom z wyżyn akademickiej „wieży z kości słoniowej”. Co więcej, ja, jako pozytywista i uczeń Asnyka, nawoływać mam z owej wieży szkolnych polonistów, aby się uczyli (ode mnie??) tego, co przecież od dawna umieją, tzn. współczesnych języków opisu dzieła literackiego. Prof. Inglot o akademickiej polonistyce wypowiada się w manierze dosyć niejasnej. Niby chwali jej ideologiczną niepodległość, ale przy okazji pomawia o odwrócenie się od społecznych potrzeb. Że to niby w czasach stalinowskich uczeni pisali podręczniki szkolne, a potem już nie? Raz, że to nieprawda, a dwa — że „ezoteryczna” strukturalistyczna czy inna nie była wszak jedynym językiem, jakim się poloniści z uniwersytetów posługiwali. Z ochotą zresztą mówiliby bardziej przystępnie, gdyby im na to zezwolono — co zresztą udowodnili natychmiast z chwilą, gdy pojawiły się wydawnictwa podziemne; z równą ochotą też przypuszczali do konfidencji każdego, kto tylko chciał, a bodaj szczególnie szkolnych pedagogów. Na miłość boską, o co tu w ogóle chodzi? Przyzwyczaiłem się już, kibicując różnym dyskusjom, że adwersarza polemiki trzeba sobie na wstępie jakoś „ustawić” do ciosu, przyprowadzić mu gębę, aby potem tym łatwiej roz-

prawić się z jego rzekomymi tezami, ale chwytły tak stosowanej erytyki wydają mi się kompletnie jałowe. Mamże teraz ironizować, że to prof. Inglot, wnioskujący o stanie polonistyki szkolnej z uczonych referatów wygłaszanych na konferencjach, tkwi naprawdę w wieży ciśniejszej jeszcze i bardziej wyniosłej? Mam jego głos, strofujący mnie, iż nie dostrzegam osiągnięć polonistów, metodyków itd., porównywać do pryncypialnej, partyjnej nagany za hołdowanie „jałowemu krytykanctwu” i pomijanie „niezaprzeczalnych sukcesów”? A może trzeba mi przeprosić, że tekst parustronicowego wstępu do numeru nie jest monografią dorobku polonistyki szkolnej na przestrzeni paru ostatnich dekad? *Passons*. Zajmijmy się może raczej *meritum* sprawy, widzę bowiem, że kwestie, których dotknąłem w stylu dosyć niezobowiązującym, właściwym „Tekstowym” wstępniakom, mogą budzić najprzedziwniejsze nieporozumienia.

Przede wszystkim podkreślić muszę, że ja na polonistykę patrzę nie z perspektywy akademickiej, ale z dystansu nader bliskiego, właściwego rodzicom dzieci w wieku szkolnym. Zaręczam, że z mego miejsca szkołę widzę całkiem nieźle — tym bardziej, że swoje sądy konfrontować mogę co dzień z sądami moich znajomych, którzy mają dzieci w podobnym wieku, z tym, co usłyszę, co zobaczę w zeszytach szkolnych i podręcznikach. Szkołę wolno mi też sądzić po produktach — tzn. po kandydatach na studia polonistyczne, zjawiających się co roku na krakowskiej ulicy Gołębiej. I cóż? Może będzie to dla mego Polemisty zaskakujące, ale ja wcale szkoły *en bloc* nie oceniam negatywnie. Jest taka, jaka może być — pracując w warunkach, jakie jej stworzono. Są w niej pedagodzy świetni (jak np. obecna licealna polonistka mojej córki) — są też średni (jak jej odpowiedniczka ze szkoły podstawowej), są i bardzo słabi. Podobnie było chyba zawsze i z pewnością nie potępieniu i skazaniu szkolnej polonistyki służyć miał mój artykuł.

Prof. Inglot podejrzewa, że ja się może uprzedziłem do nauczycieli polskiego pod wpływem negatywnych doświadczeń z własnej szkoły. I to nieporozumienie: nasz polonista z krakowskiego II liceum, który zadawał nam podchwytliwe pytania o ilość garnców sadła, wypitych przez Maćka z Bogdańca, nie był wcale złym nauczycielem. W latach skrępowania ideologicznym gorsetem starał się nas uczyć jak umiał najlepiej — na wzorcach czerpanych z podręczników z dwudziestolecia, które zapewne służyły mu przed laty na studiach. I może nie jego to wina, że frazy dyktowane przezeń do zeszytów („*Księga ubogich*

jest arcydziełem skończonym...”) przyjmowaliśmy podejrzliwie lub ze znużeniem. Kasprowicz w ten sposób czytany jakoś niczego o nas i o naszym świecie nie umiał nam powiedzieć.

Posługuję się zatem zdaniem o „liczeniu garnców” nie po to, by polonistykę szkolną oskarżać o nieuleczalne, na wieczność całą skostnienie i trwanie przy XIX-wiecznych wzorcach. Jak to bywa w tekście tego rodzaju, stosuję je raczej jako metaforę, sygnał wywoławczy pewnego zjawiska, które może być zmorą nawet bardzo dobrej szkoły. Ze szkołą jest bowiem tak, jak w znanym porzekadle o generałach, którzy są zawsze świetnie przygotowani do wojny dopiero co zakończonej. I nie tyle chodzi tu o nowinki z dziedziny języków interpretacji, ile o sposób nawiązania do tradycji, o immanentny system wartościowań, zawarty w szkolnej historii literatury, o aksjologiczną podstawę, w oparciu o którą wybiera się z literackich utworów to, co w perspektywie szkoły istotnie ważne, godne przedyskutowania czy zapamiętania. Szkole nie zagraża, rzecz jasna, „liczenie garnców” w sensie dosłownym, tzn. czysto pamięciowy sposób opanowywania literackiej wiedzy — zagraża jej, że nie dostrzeże fundamentalnej zmiany, jaka dokonuje się właśnie w gustach i zainteresowaniach młodzieży, zmiany, która sprawia, że z roku na rok pisarze dopiero co podziwiani i czytani z wypiekami na twarzy stają się „nudną piłą”, że język tradycji — tej spod znaku romantyków, Sienkiewicza czy dziś już nawet Gombrowicza — jawi się naraz młodym rocznikom czymś kompletnie niezrozumiałym, odrzucanym w imię fascynacji literaturą raczej obcą niż własną, a jeśli polską, to spoza funkcjonujących do niedawna hierarchii i paładygmatów. Tymczasem, obserwując najnowsze podręczniki i programy, dochodzę do wniosku, że polonistyka szkolna świetnie przygotowała się do zwalczania wczorajszego wroga, tzn. totalitarnych ideologii i zniewolenia myśli, znacznie gorzej umie apelować do najnowszych doświadczeń swych uczniów.

Czy to znaczy, że szkoła powinna porzucać wciąż swe hierarchie i dopasowywać się do aktualnej mody? Nic podobnego! Ale tu właśnie tkwi trudność, którą w paru zdaniach kończących mój wstęp starałem się wyartykułować: szkoła musi trwać przy jakimś kanonie, który stanowi ostoję tożsamości społeczeństwa, ale musi też dbać, by kanon nie stał się zbiorem tekstów martwych z winy powtarzanych do znużenia tradycyjnych interpretacji. Poloniści muszą więc wciąż na nowo czytać teksty owego kanonu i dostrzegać zmiany, jakie w tę lekturę wprowadza sytuacja zewnętrzna. Muszą, jednym słowem,

sprawić, by zbiór tych samych tekstów z historii literatury rodzimej pozostawał stale aktualny i atrakcyjny dla kolejnych pokoleń. A szczególnie dobitnie potrzeba ta rysuje się dziś, gdy pomiędzy pokoleniem ojców i synów zarysowało się znaczące pęknięcie w dziedzinie gustów, zainteresowań i czytelniczych potrzeb. Jakaś dziwna panuje tu niezgodność pomiędzy mną a moim Polemistą, bo zadanie, które ja mam — powtórzę — za „karkołomnie trudne”, on uważa za nieledwie już rozwiązane wspólnym wysiłkiem nauczycieli i metodyków. Coś mi się wydaje, że o czymś zupełnie innym myślimy. W każdym razie nigdy nie przyszłoby mi do głowy — co mi Polemista imputuje — że aby złu zaradzić, polonistom szkolnym wystarczy czerpać wiedzę gotową ze studiów uniwersyteckich. Wprost przeciwnie: taka wiedza nigdzie jeszcze w postaci gotowej nie istnieje — tak jak nie istnieje i istnieć nie może skończona i obiektywna charakterystyka współczesnego stanu kultury.

Prof. Inglot mógłby zauważyć, że ja w swoim tekście polonistykę dzisiejszą traktuję konsekwentnie jako całość — nie dzielącą się bynajmniej na wszytkowiedzącą naukę akademicką i jej ubogą krewną wegetującą w szkolnych klasach. Z chwilą bowiem rozebrania murów „oblężonej twierdzy”, w której akademicy odprawiali w tajemnym języku swe obrzędy, odnaleźliśmy się wszyscy na jednym wózku, jadącym w nieznaną jeszcze przyszłość. Myślę, że przed kłopotem wynikającym ze zmiany kulturowego paradygmatu stoją zatem wszyscy nauczyciele — od uniwersytetów po wiejskie szkoły — i wszyscy będziemy niebawem zmuszeni odpowiadać na pytania, dlaczego uczyć się raczej hermetycznego języka rodzimej tradycji niż obiegowych formuł kultury uniwersalnej. Zdaniem prof. Inglota, referaty z sekcji dydaktycznej Zjazdu Polonistów dowodzą, iż nauczyciele szkolni świetnie wiedzą, jak tym problemom stawić czoła. Cieszyłbym się, gdyby tak naprawdę było, pozwalam sobie jednak sądzić, że referaty istotnie znaczące wygłasza się nie po to, by utwierdzać się w dobrym samopoczuciu, ale raczej po to, by owo samopoczucie burzyć. Patrząc wstecz, poloniści nie mają się czego wstydić; źle byłoby dopiero, gdyby z podobnym samozadowoleniem spoglądali w przyszłość. O to właśnie — o wyważenie proporcji między satysfakcją a poczuciem, że kłopoty dopiero przed nami — starałem się w króciutkim wstępie poprzedzającym polonistyczny numer „Tekstów”.

Jerzy Jarzębski